

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 7 CZERWCA 1924.

Nr 39.

Dziwne metody likwidowania tragedji rządów Chjeno-Piasta.

W sali krakowskiego sądu okręgowego rozgrywa się epilog tragedji 6-ego listopada r. ub. Pięćdziesięciu sześciu oskarżonych wybranych przez organy śledcze z wielotysięcznego tłumu aktorów dramatu, mają udźwignąć na swych barkach cały ciężar odpowiedzialności za splot fatalizmów, poczętych w amoralnych, wieczyście przez życie potępionych podstawach spisku lanckorońskiego. Kilkudziesięciu robotników z dwoma posłami i paroma inteligentami — dla okraszy — na czele, mają przez akt złożenia głów pod topór Temidy, nasycić rozdrażniony instynkt sprawiedliwości współczesnych i czyścić przed trybunałem historii brudną hipotekę rządów Chjeno-Piasta. Mają być piaskiem, rzuconym w oczy przyszłemu badaczowi naszej doby, by o niej mówił językiem demagogów „obozu narodowego“, by skłoniwszy głowę przed boskimi przymiotami „jedynie narodowego rządu“, stanął przerażony wobec „potwornych zbrodniarzy“ z ław sądu krakowskiego — „morderców ułanów ks. Józefa“.

Można i tak. Można znaleźć winowajców, tam gdzie ich jest łatwiej, lub wygodniej szukać. Można oskarżyć siekiere o odcięcie głowy sprawiedliwemu, można kazać zburzyć skałę za zbrodnię nieustępliwości przed głową pomazańca „władzy“. Można. Sowiety od tyłu lat znajdują winnych klęsk swego straszliwego systemu dławienia narodu rosyjskiego — „wybor-

nyje winownyje“, tysiącami i dziesiątkami tysięcy padają od kul z ręki „sprawiedliwości“, kierowanej przez winowajców istotnych. Można więc i tragedję krakowską „zlikwidować“ pięćdziesięcioma sześcioma wyrokami — srogimi i bezlitosnymi — można w imię sprawiedliwości zabić sprawiedliwość.

Ale nie można się ludzić, że takim dramatu epilogiem rozstrzyga się zawarty w jego pełnem rozwinięciu problem: rządu dla rządu, czy rząd dla rządzonych? że taki epilog będzie zgodny z przyszłym wyrokiem historii.

Kto patrzy dalej i analizuje głębiej; kto z ubiegłego dziesięciolecia straszliwego pojęć i wartości przetasowania doniósł na brzeg polski duszę czystą, myśl uczciwą a spokojną, i sumienie podmuchom wiatru i pokusom dobrze płatnego zła nie podległe — w dążeniu do utrwalenia w społeczności ludzkiej szlachetnych zasad sprawiedliwości będzie piętnował i niszczył przyczyny zła, a nie skutki. Nie będzie dzielił społeczeństwa na rządzących, którzy zawsze mają rację, choćby się największych dopuszczali zbrodni i rządzonych, którzy są zawsze winni, nawet wtedy, gdy padają ofiarą zdrady rządzących, którym sami powierzyli nad sobą władzę. Gdzie szukać przyczyn zła uwiecznzonego krwawymi wypadkami 6-tego listopada?

Przeczytajmy urzędowy przebieg zajścia dołączony do aktu oskarżenia 56-ciu „zbrodniarzy“ krakowskich. Zaczniemy od początku: „Wzrost drożyzny, przybierający z końcem lata ub. r. stopniowo coraz bardziej na sile, a będący z jednej strony prostem następstwem szalejącej orgji niesumiennej spekulacji, rozpetanej we wszystkich dziedzinach życia ekonomicznego, a z drugiej strony koniecznym wynikiem pogarszających się stosunków finansowych państwa, wywołał w społeczeństwie powszechne zdenerwowanie i zaniepokojenie“.

A więc jest przyczyna „powszechnego zdenerwowania i zaniepokojenie“, a więc są i winni tego nieszczęścia, i nie tylko są — pamiętamy wszyscy z imienia i nazwiska wspinających w zaślepionej głupocie nieuczciwych megalomanów z ministerjalnemi tekami pod pachą, jak „zbrodniczą ręką“ burzyli państwo i równowagę ducha obywateli; jak grabiąc, i to podkreślmy — grabiąc skarb, ręce w kieszenie wcisnąwszy, z trybuny sejmowej drwili z głosów przestrogi; jak ignorowali i lekceważyli z wszystkich zakątków kraju wartkim płynące potokiem odgłosy wzrastającego umysłów wzburzenia. Ta ohydna spółka, która na wiele lat niesławą okryła imię Polski i poderwała podstawy jej zdrowia moralnego i materialnego, miała dla wzburzonego i do nędzy doprowadzonego narodu zamachowy dekret o stanie wyjątkowym, tudzież bagnety wojska i policji. Ci tępi demagodzy, którym państwo wydało się być ekspozyturą ich zdemoralizowanych partji, posługiwali się bronią prowokacji w celu doprowadzenia do — głupio i nierealnie, ale namiętnie śnionej — „próby sił“ i „rozgrywki“.

Nie zapominajmy, że w pierwszych dniach listopada stolicę państwa zamieniono na obóz warowny, iż pościągano do niej „pewne“ pulki, że p. gen. Szeptycki sypiał nawet w budynku dowództwa miasta, aby w każdej chwili, jak na wojnie ruszać do ataku. Pamiętajmy że Czikiel w Krakowie zamienił Wawel w regularną fortecę, że na historyczne mury zaciągnął działa, usypał okopy, że sam założył na zamku królewskim kwatere główną i rozciągnął nad miastem sieć telefonów polowych. Pamiętajmy również, że w stanie ostrego pogotowia utrzymywano wzmocnione załogi wojskowe w centrach przemysłowych. A podczas tych niedwuznacznych, niesłychanych przygotowań, pp. ministrowie utrzymywali żywy kontakt z zamachową organizacją P. P. P., którego dzisiaj nawet wyprzeć się wprost nie mogą.

Kto więc prowokował?

Zgłodniałym rzeszom, domagającym się pożywienia, grożono batem i bagnetem. Militaryzacją chciano napełnić żołądki; w duszę żołnierza rzucono zbrodniczą rozterkę: czy powołano go do obrony słusznej sprawy, czy wolno mu bez gwałtu nad własnym sumieniem strzelać do braci, sprawiedliwości żądających. Ulice Krakowa i wolność obywatelską oddano w dzierżawę policji i to do tego stopnia, że nawet akt oskarżenia mówi ciągle o o porze, czynionym rzekomo przez podsądnych, „zwierzchności“, t. j. policji. Niechże to curiosum, że policjant był wówczas, a jest i dzisiaj przez urząd prokuratorski uważany za „zwierzchność“ obywateli, w prawach konstytucyjnych przez władze sądowe nieograniczonych — daje miarę potworności metod, jakimi parta do „próby sił“. Była ona wywołana celowo i świadomie przez wojewodę Gałęckiego, na rozkazy Kiernika i oni przedewszystkiem są winowajcami tragicznego krwi przelania. Przecież to gen. Czikiel oświadczył, że gdyby wykonał wszystkie dawane przez Gałęckiego dyspozycje—zburzyłby ogniem artylerji połowę Krakowa. I przecież to Gałęcki twierdził, że wykonywał rozkazy Kiernika.

A więc są winowajcy. Ale przebieg zajścia przez władze śledcze sporządzony, rozpoczęty od stwierdzenia przyczyn zła, idzie w dalszym rozważaniu po linii prowadzącej do znalezienia winnych nie tam, gdzie ich wcale szukać nie trzeba, gdyż sami się uwadze narzucają. Znajdujemy w nim balast naiwnych plotek i babskich niesprawdzonych gadek, zmierzających nieudolnie do wykazania, że strajkujące rzesze robotników postanowiły dokonać zamachu. Jakby naigrawając się z powagi sprawy i krwi przelanej, władze śledcze opowiadają bajeczkę, że „wśród zebranego tłumu widać było podejrzane (!) indywidua (!) z workami i plecakami, które przybyły w nadziei obłowienia się rabunkiem (!!!)..“ A tymczasem faktem jest, iż robotnicy, podążający do lokalu związków zawodowych po informacje o przebiegu pertraktacji z rządem, nie byli uzbro-

jeni, że ci sami robotnicy, po wypadkach, utworzyli milicję dla pilnowania porządku w mieście i pełniły tę służbę wzorowo obok żandarmerji wojskowej, że następnego dnia wznosili entuzjastyczne okrzyki na cześć przybyłego z Warszawy gen. Żeligowskiego, że więc żadnych zamiarów ani spisków rewulucyjnych nie było.

Ale na ławie oskarżonych posadzono tylko sprowokowanych, a nie widzimy obok nich chociażby Gałęckiego, tak jak przed trybunałem stanu nie stanął Kiernik.

Nie poruszamy jeszcze kwestji winy oskarżonych — powrócimy wkrótce do tego tematu. Chcemy tylko zaznaczyć, że nawet pomiędzy prokuraturą wojskową i cywilną istnieją pod tym względem zasadnicze różnice poglądów na sprawę odpowiedzialności za 6-ty listopada. O ile nam wiadomo, generalna prokuratura wojskowa rozkazała rozciągnąć akt oskarżenia na wszystkich winnych tych zająć, a więc i na gen. Czikiela i płk. (obecnie również generała) Beckera. Jest to jedynie słuszne stanowisko.

Metoda zaś, zastosowana przez prokuraturę cywilną stawia sąd w sytuacji bardzo ciężkiej, z której wątpliwe czy zdoła wybrnąć, zaś społeczeństwu musi podsunąć zgoła niepożądane refleksje na temat opaski na oczach Temidy.

Wszakże czy sobie kto tego życzy czy obawia, ten proces jest tylko i wyłącznie jednym wielkim aktem oskarżenia rządów Chjeno-Piasta i nikt poza nim, nie wyniesie z sali sądowej do historii piętna hańby i brzemienia przekleństwa.

W. Stpiczynski

Anatol France o owocach zwycięstwa lewicy we Francji.

(Przemówienie wygłoszone dn. 24 maja b. r.)

To, czego dokonał lud francuski w ostatnich dniach, jest wielką rzeczą. Ale nie zasypiajmy w zwycięstwie, nie zapominać, że obiecaliśmy zrobić Pokój, Pokój przedewszystkiem, Pokój i Amnestję. Nigdyby nam bowiem nie wybaczone, gdybyśmy nie spełnili czynów podyktowanych nam przez głosowanie, a których oczekują od nas wyborcy.

Bezrobocie naszej polityki zagranicznej.

Z racji zwycięstwa lewicy we Francji podniosły się u nas głosy, że skoro świat „idzie na lewo“, to i nasz urząd do spraw zagranicznych w myśl ogólnej ewolucji powinien zmienić ministra i kierunek. Na to Chjena, chwytając się rozpaczliwie

brzytwy, odpowiada, że nie cały świat idzie na lewo, bo przecież we Włoszech jest Mussolini, a Niemcy i Rosja bynajmniej nie skłaniają się ku tryumfowi demokracji. Oczywiście, sprawa jest źle postawiona. Nie chodzi bynajmniej o to, czy ministerstwo spraw zagranicznych jest dobrze dostosowane do sezonu prawicowego, czy lewicowego, lecz o to, czy dobrze i sprawnie funkcjonuje. Gdyby u nas istniała prawica w europejskim tego słowa znaczeniu i miała swego ministra spraw zagranicznych, nie zachodziłaby gwałtowna potrzeba zastępowania go przedstawicielem lewicy, jedynie z uwagi na wyniki wyborów w Anglii i Francji.

Chodzi o to, że urząd ten funkcjonuje niżej wszelkiej krytyki i że kurs prawicowy, który panował jeszcze niedawno na zachodzie, nie przysporzył mu mocy ani żywotności. Endecy, wychodząc z tych założeń, mogliby na swą korzyść powiedzieć, że skoro wartość ich kierownictwa naszym urzędem do spraw zagranicznych była równa zeru, to i w okresie lewicowym nie zachodzi potrzeba zmiany, bo przecież to kierownictwo nie może się już bardzo pogorszyć... Argument ten byłby nawet zupełnie przekonujący, gdyby nie wchodziły w grę nowe okoliczności, które gwałtownie domagają się reformy w pałacu Brühlowskim i w podległych mu urzędach.

Zaszły zmiany w konjunkturze międzynarodowej i to w kierunku niepomysłnym dla Polski. Jeżeli do niedawnego czasu ministerstwo do spraw zagranicznych mogło być urzędem od parady, to dzisiaj staje się ono odpowiedzialnym organem państwa, a o ile tej odpowiedzialności nie sprostą, narazi sprawę ogólną na groźne niespodzianki i niebezpieczne zakłócenia.

Powinniśmy zrozumieć, że stoimy wobec komplikacji wschodnich i ofensywy sowietów. Ta ostatnia nie występuje wprawdzie w postaci zbrojnej, lecz świadczy o niej szereg objawów, łączących się w jedną widoczną całość.

Nasz poseł w Moskwie p. Ludwik Darowski, gdy oznajmił komisarzowi sowieckiemu, że Polska pragnie zawarcia traktatu handlowego z Rosją, odebrał chłodną i lekceważącą odpowiedź. Do tej ostatniej niebawem dostarczyła komentarze *Ekonomičeskaja Żiźń*, która, jak cała prasa sowiecka, stanowi wydawnictwo rządu i od niego całkowicie zależy. Publicysta tego organu, Rosenblatt, w dwóch artykułach wyjaśniał, że okoliczności bardzo się zmieniły od pokoju ryskiego i że jeżeli Polska życzy sobie zbliżenia z Rosją i zawiązania stosunków handlowych, musi te zmiany uwzględnić, t. j. zgodzić się na rewizję traktaktu pokojowego.

W ostatnich miesiącach coraz częściej słychać o wkroczeniu uzbrojonych band na nasze pogranicze wschodnie — trudno nie dostrzegać w tem umyślnej roboty Moskwy i Kowna, obliczonej na efekt polityczny. Wreszcie sowiety z wielkim hałasem

rozszerzyły terytorjum republiki Białoruskiej i niedawno w nocie do rządu naszego wystąpiły w obronie mniejszości narodowych w Polsce, opierając swe interwencje na artykule VII-ym traktatu pokojowego. Na udzieloną sobie odprawę ze strony naszego urzędu do spraw zagranicznych, sowieaty odpowiedziały, iż „przyjmują do wiadomości, że zdaniem Polski niektóre artykuły traktatu pokojowego nie podlegają wykonaniu“. Jest to oczywiście zapowiedź łamaniania przez rząd moskiewski zobowiązań traktatowych.

Narzędziem sowietów do szachowania i prowokowania Polski jest Litwa, która nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś podobnego, gdyby nie odbierała zachęty i podniety z Moskwy. W chwili, gdy słowa te piszemy, reżyserja kowieńska przygotowuje na tle obrzędowym dużą demonstracyjną awanturę, obliczoną na wzburzenie namiętności ludowych i na wrogie dla Polski odgłosy w opinii zagranicznej.

Jeżeli tedy nie chcemy dobrowolnie zamykać oczu na niemiłą rzeczywistość, musimy uznać, że rząd sowiecki prowadzi przeciw nam celową kampanję dyplomatyczną. Czy ma być ona wstępem i przygotowaniem gruntu do kampanji wyższej? Tego nie wiemy, lecz musimy i tę ewentualność brać w rachuby. Powinny mieć to na uwadze nasze władze wojskowe. W danym jednak razie chodzi nam o obowiązki naszego urzędu do spraw zagranicznych, na który spada poważne i odpowiedzialne zadanie.

Z pomocą mocarstw zachodnich, których postawa stanowi w tym czasie pierwszorzędny czynnik, moglibyśmy wojny na wschodzie uniknąć, a gdyby nawet to się nie udało, mielibyśmy po swej stronie ich poparcie moralne. O to ostatnie już dzisiaj powinniśmy usilnie zabiegać, boć przecież już teraz idzie przeciw nam ofensywa polityczna. Jednym z jej najbliższych etapów będzie poruszenie sprawy wileńskiej na wrześnieowej sesji Ligi Narodów. Nasz urząd do spraw zagranicznych uprawia wytrwale metodę strusia wobec tej ofensywy, w której chodzi o rzeczy ważniejsze niż Jaworzyna.

Nasz minister wyraził się o porażce co do niej z odcieniem zadowolenia, stwierdzając że teraz stosunki z Czechami powinny się poprawić. Otóż katastrofalna strata na wschodzie mogłaby niewątpliwie wywołać wielkie zadowolenie i w Moskwie i w Kownie i w Pradze i za jednym naszym poparciem poprawić nasze stosunki ze wszystkimi trzema sąsiadami, ale taka metoda, chociaż prosta i nieuciążliwa, zbyt przypomina niefrasobliwe czasy saskie i epokę rozbiorów, aby ją wolno było dzisiaj stosować. I nie o to chodzi, czy ministerstwo spraw zagranicznych ma być prawicowe czy lewicowe, lecz o to, czy ma być ważnym organem państwowym, czy też honorowanym przytułkiem nieudolności i niedbalstwa.

Marszałek Józef Piłsudski u ś. p. porucznika Wacława Łapczyńskiego.

Niepodległość Polski nie wszyscy Polacy otrzymali „za darmo“.

Kto walczył za nią, kto nietylko w marzeniu, ale i w czynie, żył nią, kto ją ukochał ponad życie własne, ponad ciasny krąg materialnych interesów, kto się nie kłaniał zaborcom i nie giął przed nimi karku, kto nie godził się z hańbiącą niewolą, kto rozumiał wreszcie, jaki przełom w duszy narodowej dokonał się dzięki czynowi z dnia 6 sierpnia 1914 r. — ten ze czcią i ukochaniem odnosić się będzie do symbolu tej niepodległości i walki o nią, do Marszałka Józefa Piłsudskiego, ten nie będzie się mógł pogodzić z jego obecnym odejściem od życia czynnego, ten wreszcie umierając, Jego imię — jako ostatnie swe słowo — wymawiać będzie.

Mocne bowiem węzły zjednoczyły ideowo myślące rzesze z tem łmieniem. Jest ono i będzie spójnią ludzi, szczerze oddanym czynem i myślą Ojczyźnie.

I jakkolwiek w dalszym ciągu zorganizowana tłuszcza karjerowiczów i spekulantów narodowych, kartów i zawodowych pomniejszych wielkości, żerujących na cudzym trudzie i krwawym wysiłku, sięgających po najwyższe godności i pragnących całą Polskę ująć w swe wyłączne posiadanie, obrzucać będzie to łmie błotem, nie zdoła ani go pomniejszyć, ani odsunąć w niepamięć, ani zatrzeć wreszcie w świadomości narodu chociażby na czas pewien.

— Raczej siebie obryzga i zbruka jeszcze bardziej, pozostawiając w dziejach smutne wspomnienie, odrodzonego nownie w zmartwychwstałej Polsce, narodowego warcholstwa, zaprzaństwa i walk ze wszystkim, co wzrasta nad poziom codziennych interesów i uczuć.

W pierwszych dniach maja r. b., do historycznego już Sulejówka, gdzie w ciszy i zdala od zgiełku, Marszałek Józef Piłsudski kończy nową swą pracę, przyjechali członkowie rodziny, dogorywającego w Otwocku, porucznika Wacława Łapczyńskiego, ongiś legionisty II-giej brygady.

Wyłożyli Marszałkowi gorącą pośbę porucznika, który, umierając, pragnie raz jeszcze ujrzeć swego ukochanego Wodza, w imię ideałów którego żył, walczył i działał.

Marszałek zgodził się i nazajutrz, dn. 13 maja, przyjechał do Otwocka.

Z chwilą wejścia Marszałka do pokoju, w którym leżał konający już Wacław Łapczyński, promień wiecznego życia

duchowego i niegasnącego nigdy słońca przedarł się przez mroki śmierci i rozjaśnił oblicze umierającego.

Prośbie i marzeniom porucznika stało się zadość. Uniósł się na poduszkach — nie wierząc własnym oczom; wyciągnął dłonie ku Marszałkowi, dziękując za szczęście, o jakim marzył jedynie, dziękując za odwiedziny, za wyróżnienie, które jest dla niego największą nagrodą za trudy wojenne.

Poptęnięty słowa radości najwyższej. Umrzeć oto teraz może spokojnie. Ujrzał raz jeszcze symbol swej ukochanej idei, symbol Polski wiecznie żywej, dumnej, niepodległej, rycerskiej. Teraz zasnąć może snem wiecznym, spokojnym.

A śnić mu się będzie Polska, ta marzona w duchu, w snach i dymie armatnim, marzona wraz z Komendantem, wyłaniająca się mimo wszystko z odmetu dziejowych przeszkód.

I opadła głowa porucznika na pierś Komendanta, który ją mocno, serdecznie uściśnął.

* * *

Nazajutrz, dnia 14 maja, odszedł spokojnie w zaświaty duch prawego żołnierza Polski, Wacława Łapczyńskiego.

W rękach martwego już ciała pozostała fotografia Wodza, a na ustach zastygło Jego imię.

Marjan Uzd.

Żeromski o Dmowskim.

„Przemówi do nich napewno „polityk“, gdy cuda sprytu, podpatrzone przez dziurę od klucza w pruskich urzędach policji i galicyjskich cyrkulach przyniesie na te piaski i nauczy skrytobójców, jak „bratnią krew przelewać“. Trafi do dusz, gdy o tych swoich dokonanych czynach i gigantycznych zamysłach wygrania „wojny domowej“, w publicznej mowie, z bajeczną genialnością zda sprawę“.

(Słowo o Bandosie — 1907).

Żeromski o „prasie narodowej“.

„Słowa: „Polska, ojczyzna, naród, kraj, społeczność“ — poczęły służyć do tego celu, żeby snobizm ciemnego tłumu mógł być podżegany skutecznie, a interesy magnatów i bankierów osłonięte sztandarem. Przez pewien odłam dziennikarskiego motłochu święte wyrazy zostały shańbione i pozbawione wewnętrznej treści. Zbezczeszczone zostały najtłwiste dźwięki popowstaniowego języka, dostojnej mowy, w szkole milczenia zahartowanej, jak płytka stal, chowanej na piersiach, jak ryngraf.

(Słowo o Bandosie — 1907).

Posel Polski czy Watykanu?

Amerykański *Dziennik Ludowy* podaje dwa listy następującej treści:
„Jego Ekscelencja, Posel Rzeczypospolitej Polskiej, Dr. Wróblewski,
Washington, D. C.

Czcigodny Panie Pośle! Polsko-Narodowa Spółnia, organizacja ubezpieczeniowa, oraz społeczno-patrjotyczna, powstała w Scranton, Pa. w r. 1908, licząca obecnie 12,000 starszych i młodzieży polskiej, tu już w Ameryce zrodzonej, zamierza urządzać po południu w trzecią niedzielę maja, b. r. w Scranton, w śródmieściu, obchód ku pamięci i czci Ojczyzny Polskiej. Obchód ten ma być sposobnością do wyrażenia sentymentu miłości i czci dla Polski, ale także zaznaczenia tych obowiązków praktycznych i tych obywatelskich cnót, które mogą pomóc Polsce bez uszczerbku dla lojalności względem Ameryki. Na tę uroczystość mającą, wskazaną poleceniami Kościoła i ustawami Spójni, zapraszamy niniejszem Czcigodnego Pana Posła, bo wierzymy, że Jego między nami obecność, podniosłaby wysoko sztandar Polski i podkreśliła, w umyśle wszczepiła te nakazy, które naród nasz mogą uleczyć, umocnić i sprowadzić na drogę należytego rozwoju. Tusząc sobie, że czas i okoliczności pozwolą Czcigodnemu Posłowi wziąć czynny udział w ludowej uroczystości polskich robotników w Scranton „Dickson City, Dupont, Wilkes-Barre, Plymouth i okolicy, kreślimy się z głębokim uszanowaniem.“

Posel Wróblewski odpowiedział co następuje:

„Dziękuję uprzejmie za zaproszenie mnie na obchód ku uczczeniu Polski w trzecią niedzielę maja, r. b. W czasie tym będę chwilowo poza granicami Stanów Zjednoczonych i już to samo uniemożliwiłoby mi fizycznie wzięcie udziału w uroczystości. Uważam jednak za swój obowiązek nie pozostawić wątpliwości co do mego zasadniczego stanowiska w tej mierze. Z radością dowiaduję się o uczuciach, jakie ożywiają członków Polsko-Narodowej Spójni wobec Polski. Natomiast, jako katolik, nie uważałbym za możliwe uczestniczyć w obchodzie, — który, jak Szan. Komitet w piśmie Swem zaznacza, ma być nie tylko stwierdzeniem przywiązania do kraju macierzystego, ale także zadokumentowaniem przynależności do Kościoła Narodowego, zatem organizacji negującej zasady Kościoła Rzymsko-katolickiego, do którego należę.“

Co myśleć, co mówić, co robić z tego rodzaju kwiatkiem myślowym i pojęciowym dygnitarza wysokiej rangi, reprezentującego Polskę wobec najliberalniejszego narodu i najpostępowszego państwa, gdzie sama myśl, że różnice przekonań religijnych mogą odgrywać jakkąkolwiek bądź rolę polityczną, lub że wyznawcę katolicyzmu może obrażać towarzystwo buddysty, jest czemś niezrozumiałym, niepojętym. Czy machnąć ręką w myśl filozoficznej zasady, że jeden gł... mniej, jeden więcej... cóż za różnica...? Czy zapytać opinii psychjatrów — może istotnie orgja szachrajstw politycznych dokonywanych przez różnych polityków w czasie wolny rzuciła im się na umysł... może cierpią na obłąd religijny? Czy uwierzyć ludziom zachodu, którzy nie chcą Polski zaliczać do krajów cywilizowanych...?

Jedno jest pewne, że ten dokument, ręką najwidoczniej człowieka niepoczytalnego lub nietrzeźwego skreślony, przejdzie do historii dyplomacji. — Jestem rzymskim-katolikiem i jako przedstawiciel Polski, nie chcę mieć nic doczynienia na obczyźnie z Polakami innych wyznań. Chcecie, kochajcie Polskę — b. mi przyjemnie. Mnie na tem nie zależy. Ja jestem katolik rzymski i tyle mam do powiedzenia—. Oto sens rozumowania p. Wróblewskiego, nieproszonego posła Watykanu, popisującego się przed światem, brakiem prymitywnej kultury i rozsądku politycznego na rachunek moralny i za pieniądze Polski.

W. S.

Wykręty winowajców katastrof lotniczych.

W Nr. 151 *Polski Zbrojnej* ukazał się art. p. t. „Kontrola Wojskowa w fabrykach samolotów“, o charakterze, mimowolnej czy celowej, repliki na nasz artykuł w sprawie katastrof lotniczych. Usiłuje on mianowicie zasłonić departament lotnictwa przed odpowiedzialnością za wadliwą organizację, a w istocie dezorganizację kontroli technicznej materiału lotniczego, zarówno w czasie jego wytwarzania, jak użytkowania.

Dowiadujemy się o trzech przeszkodach, uniemożliwiających racjonalną organizację kontroli: 1) sprowadzanie do aparatów, produkowanych w kraju, zagranicznych motorów — niesprawdzanych w okresie fabrykacji, a więc niepewnych; 2) niedostateczne wczucie się robotnika zatrudnionego przy fabrykacji aeroplanów w doniosłość maximalnej precyzji obróbki poszczególnych części i 3) „brak fachowców na stanowiska kontrolerów“.

Na dwa pierwsze argumenty zgoda. Natomiast w sprawie trzeciego pójdziemy na ubitą ziemię. Tu departament sianem się nie wykręci. „Brak fachowców na stanowiska kontrolerów“. Zgoda. Brak. Ale co uczyniono z istniejącymi? Czy wszystkich, jacy byli, jakich wyszkolono na koszt państwa we francuskiej Wyższej Szkole Aeronautycznej wyzyskano w służbie kontroli technicznej? Otóż nie. W poprzednim artykule napisaliśmy, a i teraz powtarzamy, jak departament lotnictwa zadysponował dziewięciu inżynierami lotnikami, ze specjalnymi studjami technicznymi we Francji. Było takich opatrnościowych i bezcennych fachowców dziewięciu. Gdzież są? Jeden (wbrew zdrowemu rozsądkowi puszczony na próbny lot nowego aparatu) zginął, trzech zdemobilizowano (skandal!!), jednego przydzielono do misji w Paryżu, jednego do misji w Rzymie, jeden organizuje lotnictwo cywilne w ministerstwie komunikacji i dwóch tylko pracuje w lotnictwie wojskowym, ale nie w fabryce „Plage i Łaskiewicz“, gdzie kontrola jest najpilniejszą potrzebą.

A co pisze autor artykułu w *Polsce Zbrojnej* o braku fachowców—kontrolerów? „Nieliczni fachowcy dziękowali jeden po drugim za służbę państwową, uzyskując lepsze warunki w przemyśle prywatnym...“ Jakto dziękowali? Armia nie jest prywatną instytucją, w której każdy pracownik może podziękować za posadę. Istnieje wprawdzie dla oficera możliwość przejścia ze stanu czynnego do rezerwy, ale po 1) w każdym wypadku decyduje zwierzchność wojskowa i 2) droga ta jest zamknięta, przynajmniej na szereg lat, dla oficera, który na koszt państwa odbywał zagranicą wyższe studia w jakiejś specjalności wojskowej. A w tym wypadku mamy do czynienia z przeniesieniem do rezerwy trzech (na dziewięciu) specjali-

stów tej kategorii, oczywiście wbrew wszelkiej racji i zasadzie i za to właśnie odpowiedzialny jest departament lotnictwa i dla tego ponosi on odpowiedzialność za katastrofy, życie dzielnych ludzi, za paraliżowanie rozwoju lotnictwa i demoralizowanie już istniejącego.

W. S.

Niebezpieczne objawy w armji.

Każdego, kto czytał sprawozdania z wojskowych procesów w Krakowie, które odbyły się w statnich miesiącach b. r., uderzyć musiał niezwykle dotychczas fakt, że oskarżenia opierały się przeważnie na doniesieniach kolegów oskarżonych oficerów. I to doniesieniach dobrowolnych! Bo jakkolwiek potwierdzenia tych doniesień składane były pisemnie na rozkaz, to jednak nie zmienia faktu, że pierwotne doniesienie było aktem inicjatywy donosicieli. Nie brak dowodów, że, co gorsze, doniesienia były często zupełnie nieprawdziwe. Z tajnych głębocho ukrytych *dossier* wyszły na światło dzienne, pod przymusem procesu. Nikt nie może oprzeć się przypuszczeniom, że — być może — istnieje tych doniesień więcej, tylko nie wszystkie są i mogą być wiadome opinji publicznej.

Sprawy ppłk. Gigiela, mjra Dziadosza, kap. Długockiego, por. Kormana są bolesne przedewszystkiem z tego powodu. Bynajmniej nie chodzi tu o zeznanie przed sędzią śledczym i trybunałem, ale wyłącznie o doniesienia służbowe, które zapoczątkowały wspomniane sprawy.

Jest to zjawisko bardzo groźne. Korpus oficerski musi za wszelką cenę, wyłączając zdradę stanu, posiadać bezwzględna solidarność honorową. Nie gloryfikując soldateski, sądzimy jednak, że oficerowie winni cenić honor nadewszystko, rozumieć go i być raczej zbyt czułymi na dobrą sławę korpusu, niż z jakichkolwiek względów, nawet służbowych, narażać ją w opinji własnych przełożonych lub publicznej.

Czem jest donosicielstwo, zwłaszcza w sprawach natury politycznej, chyba nie ulega dyskusji. W żadnej z b. armji zaborczych donosicielstwo nie było tolerowane. I to nie przez władze, które z formalnego punktu widzenia skłonne były raczej pochwalać doniesienia w sprawach politycznych — nawet na kolegów, ale przez sam korpus oficerski. I tu nie było już żadnych wykrętów, żadnych powoływań się na wyroki sądów, nawet na pochwały przełożonych.

Na długo jeszcze przed wojną zaszedł taki znamieny fakt — i to w Warszawie, na terenie wrogim dla moskali. Jeden z oficerów 3 dywizji gwardji sprowadził sobie przez księgarnię, zdaje się Gebethnera, zagranicznego nielegalnego *Kołokoła*. Wypadek zdarzył, że sprawa się wykryła i *Kołokoł* był

znaleziony przez żandarmerję u owego oficera. Ten tłumacząc się, podał nazwisko księgarza, u którego kupił wspomniane czasopismo. Nastąpiły oczywiście represje, ale za wydanie księgarza korpus oficerski wykluczył z pułku owego oficera i kazał mu pójść do dymisji. Znaną również jest sprawa owego rotmistrza ułanów, który urządzał pogrom żydów w Siedlcach w 1906 roku, na rozkaz swojej władzy, generał gubernatora, i który następnie był tak pogardzany przez kolegów, że posunął się aż do nieudanego samobójstwa. Ale nawet ten gest rozpaczy nie uchronił go przed wydaleniem z korpusu oficerskiego. Każdy, znający stosunki w armii rosyjskiej, pamięta dobrze, jak źle traktowano oficerów żandarmerji, właśnie dlatego, że byli z obowiązku donosicielami. Zdaje się że i w armji austriackiej nie byłby do pomyślenia fakt, aby oficer usłyszawszy jakąś krytykę, np. cesarza, od kolegi w towarzystwie, — biegł meldować o tem władzy. Również i w armji niemieckiej mowy być o tem nie mogło. Od najniższych rang oficer otoczany był atmosferą solidarności, wpajano muzaufanie do władz i kolegów, a nie mylił się nigdy przynajmniej, ufając kolegom.

Wobec faktów ujawnionych w krakowskich procesach wojskowych, zniknąć musi, przynajmniej w dużej mierze i w pewnych okręgach wojskowych, wzajemne zaufanie wśród oficerów. A poczucie honoru musi być albo zmodyfikowane specjalnymi rozkazami, że donosić nie jest grzechem, albo ulec stopniowemu rozkładowi. Powtarzamy jest to bardzo groźny objaw! I nie chodzi już o to, czy donoszący na kolegów oficerowie będą przez odnośne korpusy oficerskie, pułkowe lub inne, potępieni, czy też uchronią się od tego jakąś formalistyczną kazuistyką. Ale ważnym i groźnym jest ten objaw dlatego, że zaistniał, że przyczyny tego objawu muszą leżeć głębiej, w wychowywaniu oficerów przez ich starszych dowódców. Czy młody porucznik lub kapitan odważyłby się wnieść doniesienie, charakteru politycznego w dodatku, gdyby był pewien, że za to spotka go conajmniej gniew dowódcy pułku, lub ogólne potępienie kolegów? Donoszący był zapewne przekonany, że spełnia swój obowiązek wobec Państwa, a za to nie karzą, raczej chwają. To niebezpieczne nieporozumienie może mieć niesłychanie ujemne skutki, tak obecnie, jak i na wojnie, o ile nie będzie stanowczo sprostowane przez kompetentną władzę i o ile nie nastąpią przesunięcia personalne wyższych wychowawców korpusu oficerskiego, a mianowicie tych, którzy dali dowody niezrozumienia kardynalnych i koniecznych zasad współżycia oficerskiego.

Nieodłącznym druhem donosicielstwa jest serwilizm. Obojętna kwestja, wobec kogo, przełożonego czy nawet wobec takiego czy innego rządu w Państwie. Serwilizm jest prostym zaprzeczeniem honoru i niewątpliwym dowodem rozkładu.

Żadne Państwo, żaden rząd, żaden przełożony nie może wymagać od oficera więcej niż pozwala mu jego wysoki honor. Można mu rozkazać oddać życie, ale nigdy honor. Donosić o sprawach, które nie dotyczą zdrady lub nieprzynoszą ujmy honorowi, to znaczy robić więcej, niż wymagają wszelkie przepisy oficerskie i zwyczaje. A to jest wybitna cecha serwilizmu, jakkolwiek nie jedyna.

Procesy krakowskie wojskowe ujawniły, że atmosfera w armii jest duszna. W interesie obrony Państwa trzeba ją oczyścić najradykałniejszymi środkami, bo w niej wychowują się tysiące młodych oficerów, przyszłych wychowawców i kierowników życia oficerskiego. Jest to sprawa tyleż na dziś, co na przyszłość, kiedy dodatni wpływ wojny przestanie działać na korpus oficerski. Doniesienia winny być przedstawione fachowcom, a oficerski mundur winien być legitymacją człowieka, któremu można ufać i nie zniżać głosu w rozmowie przy zbliżeniu się do niego.

Podziękowanie p. dr. Jerzemu Michalskiemu.

„Żelazna“ ale zużyta „miotła“, onże b. minister skarbu rozesłał prasie komunikat następującej, wielce żalostnej, treści: „Późnym wieczorem 2 b. m. otrzymałem pismo p. Ministra Skarbu, dekretujące przeniesienie mnie z urzędu w stan spoczynku jako Naczelnego Dyrektora Polskiego Banku Krajowego z tem, że wyznaczony mój następca w dniu 4 b. m. zgłosi się u mnie celem objęcia urzędowania“. Inaczej mówiąc, p. Michalski bardzo się żali na p. Władysława Grabskiego, że bez długich certacji uwolnił Państwo od usług znakomitego demagoga i jeszcze większego ignorantą w sprawach skarbowych. P. Michalski zachował najwidoczniej na starsze lata bardzo wiele młodzieńczej naiwności, jeżeli sądzi, że znajdzie wielu współczujących jego niedoli. Wprost przeciwnie. Bardzo dobrze, że to się wreszcie stało. A że nieco gwałtownie, z 24 godzinnym wymówieniem — najwidoczniej p. Grabski nie miał zaufania do p. Michalskiego i obawiał się iż nie potrafi on zachować się lojalnie *in statu demissioni*. Trudno, trzeba sobie zasłużyć na zaufanie.

Musimy tylko sprostować małe nieporozumienie, czy perfidję dymisjonowanego dygnitarza. Pisze, że otrzymał pismo „dekretujące przeniesienie go z urzędu w stan spoczynku, jako Naczelnego Dyrektora Polskiego Banku“. Otóż nic podobnego. P. Michalski nie jest Nacz. Dyr. Polsk. Banku w stanie spoczynku, a poprostu ob. Michalskim dymisjonowanym z tego stanowiska. To jest poważna różnica i na nią zwracamy uwagę.

W. S.

Wyjaśnienie w sprawie t. zw. prof. Ossendowskiego.

Antoni Ferdynand Ossendowski, „doktor i profesor“, oddawna narusza się swemi aroganckimi i tępemi bredniami pseudo naukowemi o krajach, których nie widział, naukach, których nie zna i sztuczkami teatralnemi, w których nic nie ma do powiedzenia — trzępięcia go, arogancko do kieszeni naiwnych sięgających, palcach. Jeżeli się o nim do tej pory paru słów prawdy nie pisało, to tylko z niechęci robenia tego rodzaju szarlatanom reklamy i w przekonaniu, że ludzie rozsądniejsi i poważniejsi szybko odróżnią ziarno od plewów, tytuły od treści, wiedzę i talent od aroganckiej autoreklamy. Okazało się że ludzie mądrzy, za jakich mamy prawo uważać kierowników literackich firm wydawniczych i teatrów stołecznych, są rozbrajająco naiwni, tam gdzie winni być czujni i krytyczni, i naodwrot, bardzo niechętni tam, gdzie winni być przychylni. Także referenci literacy pism codziennych.

Na odwagę poddania rzeczowej krytyce „Dziel“, koniecznie przez duże „D“, „profesora doktora“ Antoniego Ferdynanda zdobyły się dopiero *Wiadomości Literackie*. Jest to zasługa i za to — mimo iż na ich wydawcę, spekulanta Antoniego Bormana, bez abominacji patrzeć nie można — musimy je pochwalić. W № 22 tego pisma p. Tadeusz Domaniewski podając rzeczowej krytyce wiadomości naukowe nieudolnego naśladowcy Karola Maya (*a propos* — May w tym wieku siedział już w więzieniu!) pozostawia nierozstrzygnięty dylemat: „Nie wiem w jakiej dziedzinie wiedzy i gdzie doktoryzował się p. Ossendowski — nie wiem też gdzie, i czego jest profesorem“. A kto wie? Może jeden, może dwóch, ale — jak kiedyś powiedział jakiś dowcipniś — jeszcze się nie urodzili. „Doktor i profesor“, „literat“, „pisarz“ o którym nikt nie wie „gdzie się doktoryzował gdzie i czego jest profesorem“! Jego biograf musiałby polegać na informacjach policyjnych, gdyby p. Ossendowski, zbyt wiele lat nie spędził, wprawdzie w Azji, ale bynajmniej nie pustynej i dzikiej, skąd próżnoby oczekiwać świadków ruchliwego żywota „profesora“.

W 1909 roku w Petersburgu powstała kooperatywa młodych dziennikarzy i zecerów, i w listopadzie tego roku założyła *Dziennik Petersburski*. Na czele tej kooperatywy stał niejaki Wacław Cichocki, przyjaciel niejakiego Antoniego Ossendowskiego, bez tytułów naukowych, rosyjskiego dziennikarza, pracującego w brukowym piśmie Skobielewa *St. Pietiersburgskij Listok*. Cichocki, sprytny młodzieniec, w styczniu 1910 roku zdefraudował kapitał kooperatywy i pozostawiwszy w charakterze swego zastępcy na krześle redaktorskim w *Dzienniku Petersburskim* przyjaciela Antoniego Ossendowskiego — uciekł do Moskwy. Na tym stanowisku, dzięki pobłażliwości i gołębiwej dobroci wydawców pisma, O. trwał dziewięć miesięcy, potem, obrzydźwizy sobie polski język i służbę dla „prywiślinców“, wziął na się zpowrotem skórę rosyjskiego dziennikarza i ciągle jeszcze, ani profesor, ani nawet Ferdynand, — Anton Ossendowskij dostał się do redakcji *Birżewych Wiedomostiej*. „Profesor doktor“ będzie oczywiście deklamował dzisiaj, że conajmniej odgrywał wówczas rolę Wallenroda i że pracując w liberalnym organie rosyjskim przyczynił się do obalenia caratu, szybkiego uznania przez rząd Kiereńskiego niepodległości Polski i jest twórcą traktatu Wersalskiego, który, jak wiadomo „przywiózł“ do Warszawy z Wersalu przez Paryż — Bruksellę — Kolonję — Berlin — Egipt — Poznań, sleepingiem, sam Roman Dmowski. Trzeba tedy uprzedzić wszystkie wykrety i obnażyć do reszty Antona Ossendowskija. Po krótkim „liberalniczaniu“ czcigodny „uczony“ osiadł na stałe w redakcji czarnosociniego organu Borysa Suworyna: *Wieczernieje Wremia* i tam, pod pseudonimem A. Mzura, doskonala — od 1914 r., lub może niecc wcześniej, aż do rewolucji — akkomodował się do szowinistycznego, pogromowego tonu pisma. Rewolucja zapędziła Antona do Kołczaka i stamtąd też przyjechał

do Polski, jako „doktor profesor“, „polski pisarz“ i Ferdynand — sława „ściślejszej ojczyzny“.

Gdzie się doktoryzował, gdzie był profesorem — nie wiadomo. Za doktorat starczyć muszą kolejno tego bójnego żywota. Był sam dla siebie profesorem deprawacji moralnej i doktorem sztuki wynajmowania się za pieniądze. Duchowy brat Junoszy-Gzowskiemu, na którego plus trzeba wskażyć zapisaczną, w porównaniu z Ossendowskim, skromność — skończył na *Gazecie Porannej*.

Może te dane biograficzne, „znakomitego podróżnika i uczonego“ zainteresują p. p. wydawców jego bredni i wystawców jego sztuczek. I może wreszcie zapanuje zwyczaj zebrania informacji o różnych obywatelach, wyrzuconych przez zawieruchę wojenną na polskie piaski — zanim się ich wprowadzi pod rękę i z aplombem na arenę życia intelektualnego, i tak nazbyt obficie przesyconego moralnymi apaszami z nieprawdziwego zdarzenia.

W. S.

Wydawnictwa nadesłane.

· TĘSKNOTA DO OJCZYZNY BŁĘKITNEJ — *Sarbiewski*. Wybór pieśni. Przełożył z łaciny i słowem wstępnym opatrzył Juljan Eismond. Okładkę rył Stanisław Eismond. Str. 48. Nakładem Mazowieckiej Spółki Wydawniczej.

W historii literatury nazwisko Sarbiewskiego wyryte jest złotymi zgłoskami, jako natchnionego pieśniarza religijnego pierwszej połowy XVII wieku. Jeden z najślawniejszych poetów swego czasu, wyróżniany przez Papieża i króla Władysława IV, mnich kryształowego serca i umysł światły, nagrodzony godnością doktora teologii i profesora Akademii Wileńskiej — zasłużył sobie na wdzięczną i ciepłą pamięć rodaków. Tyleż miłujący Ojczyznę swoją ile Boga, w nich widział źródło swego natchnienia. Oto jak do Boskiej Maryi modli się o zgodę w narodzie:

Może wzruszona skargami naszymi
złość y strach wygna z granic Polskiej ziemi...
Może nareszcie niezgoda przemienie
w lackiej krainie...

Przekłady Juljana Eismonda mają zbyt już ustalone uznanie, by trzeba było tłumaczyć ich zalety. Wysoka kultura, talent poetycki i pietyzm dla dzieła — a nie przyswaja językowi polskiemu poezji, którychby sam nie ukończył — jak zawsze, tak i w pieśniach Sarbiewskiego odnoszą pełny tryumf nad formą i duchem martwej łaciny.

STANISŁAW WITKIEWICZ — *Kazimierz Kosiński*, studjum monograficzne analizujące wpływ powstania 1863 r. na ideologię patryjotyczno-moralną Witkiewicza, jego stosunek do zagadnień polskich w czasie wojny, oraz kult dla Legionów i ich Wodza. Całość pogłębiona ogólną charakterystyką Witkiewicza z uwzględnieniem jego życiorysu i poglądów filozoficznych. Wśród przytoczonych materiałów biograficznych znajdujemy po raz pierwszy publikowane pisma polityczne i listy wielkiego pisarza, twórcy i myśliciela. Nakładem Tow. Wyd. „Ignis“ (E. Wende i S-ka) S. A. w Warszawie, rok. 1924. Str. 196.

LA POLONIA — *Dati Generali Di Statistica Economica* z mapką Europy. Str. 20. Wydawnictwo Banca Commerciale Italiana — Milano 1924.

BÓG OJCÓW JEGO — *Jack London*, tom egzotycznych nowel w doskonałym przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej. Po „Synu Słońca“ jest to na polskich półkach księgarskich ostatnia nowość znakomitego angiela, nie mniej od innych jego dzieł interesująca i wartościowa. Wydawnictwo T-wa „Ignis“ (E. Wende i S-ka) w Warszawie r. 1924.

DOBRA MAGDUSIA I BIEDNA MARYNIA — *Karol Ludwik Philippe*, dwie nowele w przekładzie poetyckim Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to pierwsza książka genialnego, przedwcześnie zmarłego, pisarza francuskiego, tłumaczonego na wszystkie niemal języki europejskie. Wydawnictwo T-wa „Ignis“ (E. Wende i S-ka) w Warszawie r. 1924. Książek Ignisa tom XII.

SPADEK WALUTY JAKO ZAGADNIENIE ŻYWEGO PRAWA — *Czesław Poznański*. Studium jursprudencyjne, str. 60. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1924.

DROGA — miesięcznik poświęcony sprawie życia polskiego. № 5, str. 72. W treści: „*Tadeusz Hołówko*: Grzechy i omyłki polskiej inteligencji pracującej“, „Ankieta w sprawie Kresów Wschodnich“. *Wacław Schmidt*: „Kwestja ośmiogodzinnego dnia pracy w Niemczech po wojnie“. *Michał Sokolnicki*: „Z dziejów Aust o polskiej możliwości“. *Wł. N.*: „Minister Spraw Zagranicznych“. *I. Krzesławski*: „Stronnictwa polityczne na Łotwie“. *Mustafa Czokaj Oghty*: „Polityka rosyjska i ruch narodowy w Turkiestanie“. Numer uzupełnia obszerny przegląd spraw wewnętrznych (*k. Świt.*), zagranicznych (*n*), gospodarczych (*W. Wadek*), oraz sprawozdanie z książek. Do numeru dołączono projekt „Konfederacji Ludzi Pracy“. Redakcja i administracja: Szpitalna 12, tel. 175-34.

W najbliższych dniach wyjdzie z pod prasy stenogram 11-stu procesów redaktora Głosu Prawdy o obrazę rządu Chijeno-Piasta, a w szczególności p.p. Marjana Seydy, hr. Szeptyckiego, Witosa, Kiernika, Kucharskiego i Swolkienia.

P.p. abonentów naszego pisma, życzących sobie otrzymać sprawozdanie prosimy o przesłanie Administracji porta markami pocztowymi, w wysokości 20 groszy. Również do Administracji prosimy kierować zamówienia na większe ilości i pojedyncze egzemplarze.

TREŚĆ № 39-go: Dziwne metody likwidowania tragedji rządów Chjeno-piasta. — *W. Sipiczyński*. Anatol France o owocach zwycięstwa lewicy we Francji. Bezrobocie naszej polityki zagranicznej — *T. G. Marszałek* Józef Piłsudski u ś. p. porucznika Wacława Łapczyńskiego — *Marjan Uzd. Żeromski* o Dmowskim. Żeromski o „pracie narodowej“. Poseł Polski czy Watykanu? — *w. s.* Wykręty winowajców katastrof lotniczych — *w. s.* Niebezpieczne objawy. Podziękowanie p. dr. Jerzemu Michalskiemu — *w. s.* Wyjaśnienie w sprawie t. zw. prof. Ossendowskiego — *w. s.* Wydawnictwa nadesłane.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwartalnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. **3288**.

Redaktor i Wydawca: Wojciech Stpiczyński.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.